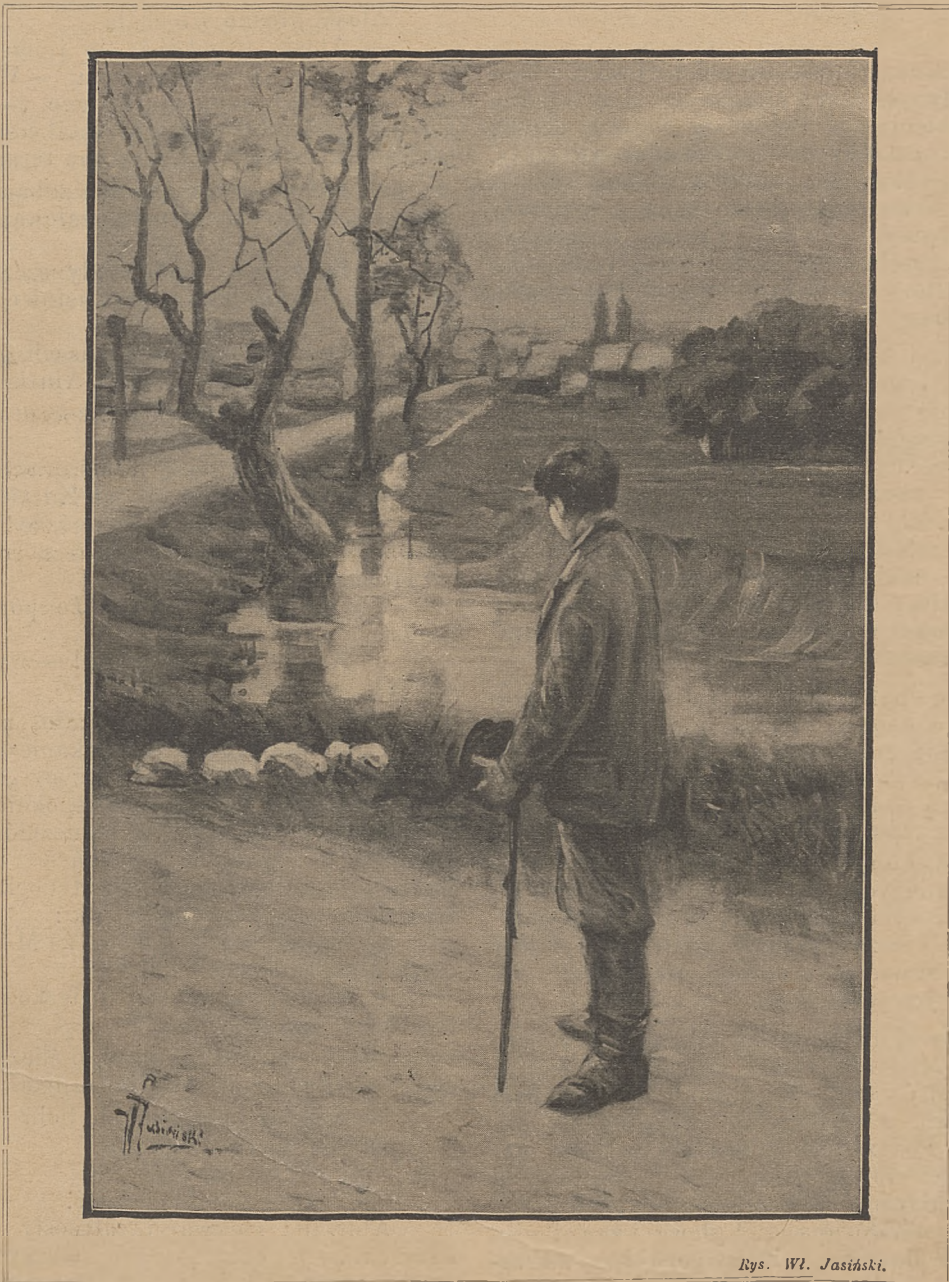




# WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.

*Do pow. „Stefek Luty w Brazylii.”*



*Rys. Wł. Jasiński.*

...Stefek spojrział ostatni raz na Wągrowiec. Miasto, oświetlone promieniami zachodzącego słońca, wydało mu się bardzo pięknym. Złocili się na tle ogrodów mury dwóch kościołów, złociła wstęga rzeki, szumiały drzewa, rosnące nad szosą. (Rozdział III)



Zofia Kowerska,



W SUCHOWSKIM DWORZE

I.

Jesień była prześliczna; prawdziwa polska jesień. Niektóre drzewa stały już nagie, czekając zimy i jakby w przestrachu załamując w jesiennym wietrze chude, czarne ramiona; inne postroiły się w różnokolorowe szaty. Kasztany i wiązki były żółte, jakby złote w słońcu; sumaki czerwieniły się, jakby krwią oblane; wino dzikie przybierało odcienia brązu i purpury, a niektóre rośliny, w ogrodzie kwiatowym, umyśliły przebrać się na fioletowo, jasno-seledynowo, lub jasno-żółto. Nie było ani zimno, ani gorąco. Rozkoszny czas do zabawy w ogrodzie.

Dzieci przy lekcji bywały roztargnione, bo na nie w polu, w ogrodzie, w lesie czekały zabawy, niespodzianki i ulubione prace. Kasztany i żołędzie leżały pod drzewami i czekały na Józia, zbierającego je wytrwale, gdyż umyślił swoją ręką zasadzić cały las w parowach, które za zupełnie nieużytek były uważane, i już zbierając kasztany i żołędzie, wyobrażał sobie, że w owych parowach szumią i strzelają ku górze młodzieńcze drzewa. Zdzisiowi zamiast cyfr na tablicy, majaczyły często przed oczami chorągiewki, lub kaski oklejane złotym papierem, nadał sobie stopień majora, a usiłował we własnym przekonaniu zasłużyć na stopień pułkownika.

Podkomendni jego byli chłopcy z czworaków, synowie fernali, gumiennych i ekonoma. Alusia popełniała niekiedy grube błędy ortograficzne i raz zamiast *wchód* napisała *fhut*, bo myślała wciąż o swoich kanarkach i kotach. Alusia bowiem na zgryzotę swoją i na wieczny kłopot przepadała za kanarkami, a jednocześnie uwielbiała koty i marzyła o takim gatunku, któryby nie posiadał pazurów, albo miał wstręt do żywej zdobyczy. Alusia miała dopiero lat ośm, ale już potoki łez wylała z powodu swoich wychowańców, z których jedne wiecznie czyhały na drugie i niosły od czasu do czasu spustoszenie w szeregi niewinnych i wesółych podzwrotnikowych śpiewaków.

Ale tego dnia dzieci miały jeszcze inny powód do roztargnienia. Biedny Medorek został skazany na śmierć przez weterynarza, który orzekł, że choroba Medorka była nieuleczalna, zaraźliwa, a w dodatku przyprawiała psa o wielkie cierpienie. Podczas lekcji historii polskiej, wykładanej dzieciom przez starszą siostrę, dziewiętnastoletnią Zosię, rozległ się dwukrotny wystrzał, na odgłos którego Zosia zbladła jak chusta, Józio schylił głowę i zaciął wargi, Alusia wybuchnęła płaczem, a Zdziś porwał się z krzesła oburzony i zaraz do walki gotowy.

— Kto się dopuścił tej podłej zbrodni! — zawołał.

— Mój Zdzisiu — odparła Zosia — wszak i mnie ogromnie żal Medorka, i mnie bardzo przykro, że go życia pozbawić musiano, ale weterynarz...

— Weterynarz jest człowiek zł i okrutny! Co mu szkodzi pozbać życie biednego psinę. Lekarz nieraz się mylą i on pewno się mylił! Jacenty mówił, że Medora można było wyleczyć, tylko trzeba było dawać siarkę do wewnątrz, a smarować naftą po wierzchu. Zosia się uśmiechnęła.

— No, mój Zdzisiu, w tej chwili tyś moim podwładnym i proszę cię byś się uspokoił i byśmy powrócili do przerwanej lekcji.

— Ej! co tam!

— A więc ja ci rozkazuję, by uważał i słuchał. W którym roku wstąpił na tron Władysław Łokietek?

Zdziś przyłożył rękę do czoła i odpowiedział, jękając się:

— W roku tysiąc trzysta...

Alusia głośno szlochała.

— Alusiu, uspokój-że się i przestań płakać — rzekła Zosia, trochę zniecierpliwiona. — W końcu ci łez zabraknie na oplakiwanie wszystkiego, co się w domu wydarza. Pomyśl sobie, że Medorek przestał cierpieć, a sama widziała, jak cierpiał bardzo. Lepiej mu teraz i spokojniej.

— Ale go już nigdy nie zobaczę! — zawołała skrzywiona, szlochająca Alusia, zalewając się nowym potokiem łez.

— Koty twoje będą miały szczęśliwszy i spokojniejszy żywot, gdy już przestał istnieć ich wróg zacięty — Medorek.

— Ja mu w ostatnich czasach, gdy tak cierpiał, wszystko przebaczyłam! — jęczała Alusia.

Józio podniósł głowę, a z oczu strzelało mu zadowolenie.

— Przynajmniej ty jesteś prawdziwą chrześcijanką — rzekł poważnie. — Nie tak jak Zdziś

— A przecież powiedziałeś, że będziesz kapłanem — zawołał Zdziś. Więc cóż będziesz robił, gdy zostaniesz księdzem.

— No, już ci mówiłem, że pójdę do Chin na misyonarza.

— Aa... szczęśliwej drogi! — wybąkał Zdziś, rozgniewany.

Alusia, która ciągle płakała, zaszlochała naraz mocniej i zawołała głosem przez łkanie zmienionym:

— Jeszcze cię tam Chińczycy „wyrznu!”

Z trudem udało się Zosi uspokoić młodsze rodzeństwo, ale jakoś potrafiła wpłynąć na uczniów swoich i panowanie Łokietka doprowadzić do końca. Przy obiedzie jednak, wrócono jeszcze do biednego Medorka, gdyż mały, czteroletni Jańcio zapytał nagle matki:

— Mamo, Marysia mówi, że Medorka zastrzelili. Dla czego Medorka zastrzelili?

— Bo był chory, moje dziecko i cierpiał bardzo, więc trzeba było go zabić.

Jańcio wstrząsnął głową o ślicznych, jasnych, kręcących się naturalnie włosach i zapytał:

— A teraz już go nie boli?

— Nie, nic go nie boli.

— I dobrze mu jest?

— Tak... przestał cierpieć.

Alusi już się wargi zatrzęsły od tłumionego łkania i łzy zalały jej oczy, gdy ten smutny nastrój przerwany został wybuchem śmiechu innych dzieci. Wesołość tę wywołało nowe roztargnienie pana Chlewiatki, nauczyciela przygotowującego starszych chłopców, Zdzisia i Józia do szkół. Zamiast cukrem, posypał szarlotkę obficie solą. Pan Chlewiatko, były profesor gimnazjalny, został nauczycielem prywatnym w domu państwa Zabrzeskich.



Był to stary kawaler, głęboko uczony, wiecznie po-  
grążony w książkach łacińskich i greckich, bardzo  
dobrze wykładający przedmioty szkolne, ale w życiu co-  
dziennem do tego stopnia niepraktyczny i roztargniony, że  
żaden prawie dzień nie upłynął bez dostarczania otaczają-  
cym nowego powodu do śmiechu.

Zacny profesor, popełniwszy niezgrabność, lub po-  
myłkę, wypływającą z roztargnienia, pierwszy się z niej  
śmiał i żartował; nie miał więc za złe dzieciom, że czyniły  
to samo i nic na swej powadze nie tracił. Ze wszystkich  
w domu, jedna tylko panna Four, nauczycielka, Francuska,  
nie lubiła pana Chlewiatki. Zaczynała zwykle rozmowę  
od słów: „*chez nous à Paris,*” i nie była w stanie zrozumieć,  
że mógł istnieć człowiek uczony, który nigdy w Paryżu nie  
był i który mówił po francusku brzydkim akcentem. Ile  
razy się odezwał, twarzą polską wymową szepcząc język  
ojczysty panny Four, tyle razy rzucała mu oburzone spoj-  
rzenie czarnych, bardzo przenikliwych i świecących oczu,  
które przy siwiejących nieco włosach cudzoziemki wyglą-  
dały, jak dwa węgielki, na któreby obrócono podmuch  
mieszka. Panna Four ogromnie kochała swoją ojczyznę,  
dostawała *nostalgię*, czyli tęsknoty za krajem, gdy jej przez  
dłuższy czas nie odwiedziła, a miała tę śmieszność, iż się  
jej zdawało, że Francya jest wielkiem słońcem, którego  
promienie rozchodzą się małemi nitkami na wszystkie stro-  
ny, i że innego słońca niema, Francya więc jest jedynem  
ogniskiem wiedzy, oświaty, postępu i wszelkiej cywilizacyi.  
Napady *nostalgię* panny Four były ciężką chorobą nerwo-  
wą, objawiającą się spazmami, melancholią, utratą snu  
i apetytu. Z początku lekarze leczyli ją hydropatyą, czyli  
kuracją wodną i rozmaitemi miksturami, pigułkami i pro-  
szkami, ale gdy panna Four miała się codzień gorzej i już  
spełniać obowiązków nauczycielki nie była w stanie, wyje-  
chała do Francyi, gdzie bez żadnych leków, bardzo pręd-  
ko wróciła do siły i zdrowia. Było to za czasów jej młodo-  
ści. Otdąd wiedziała, jakie było lekarstwo na jej cierpie-  
nie, i gdy tylko tęsknota opanowywała ją do tego stopnia,  
że mizernieć i chudnąć zaczynała, odbywała podróż do Fran-  
cyi, poczem była w stanie pracować przez dłuższy czas bez  
szwanku dla swego zdrowia.

W chwili, gdy śmierć Medorka dzieciom tyle smutku  
przyniosła, panna Four tylko co z Francyi wróciła i była  
jeszcze cała rozgrzana owem słońcem, za jakie poczytywa-  
ła swą ojczyznę, a akcent pana Chlewiatki więcej niż kie-  
dykolwiek ją raził.

Był taki zwyczaj w tym domu, że jednego dnia po  
obiedzie, wszystkie dzieci oprócz Jańcia, szły na spacer  
z panną Four, a drugiego z profesorem. Takiego porząd-  
ku wymagali rodzice, ale dzieci wołały zawsze chodzić  
z profesorem, który opowiadał im wiele ciekawych rzeczy:  
o zwierzętach, ptakach, roślinach, gwiazdach i zjawiskach  
meteorologicznych.

Owego jesiennego dnia, dzieci, po obiedzie, śpiesznie  
ubrały się do spaceru, który miał odbyć się w towarzystwie  
profesora. Przechodząc przez ogród dostrzegły zabawną  
postać mężką, w czemś bardzo dziwnym na głowie. Było  
to podłużne sitko, włożone na twarz, jak przyłbica, a oto-  
czone płócienną spódniczką, spływającą po szyi i plecach.  
Człowiek w tym dziwnym stroju szedł śpiesznie, biegł  
prawie, otoczony obłokiem dymu, wydzielającego się  
z dwóch kawałków palącego się drzewa, które niósł w rękę.

— To podpalacz! — zawołał Zdziś, chwytając za  
rękojeść blaszanego pałasika, który nosił zawsze, gdy szedł  
na spacer.

— Nie poznałeś ogrodnika — rzekł spokojnie Józio.

— Tak, tak, to ogrodnik — dodała Alusia — ale co  
on ma na głowie?

— To wcale nie ogrodnik — odparł Zdziś, zapalając  
się i biegnąc z dobytym pałaszem w stronę, skąd wśród  
drzew posuwał się obłok dymu.

(d. c. n.)

## Wspomnienia Pani Łowczyny.

O ELŻBIECIE z KOWALSKICH DRUŻBACKIEJ,

przez

Sewerynę Duchinińską.

(Dalszy ciąg).



ie tracąc chwili posłałam po sławnego medyka  
do Kalisza; przybył niezwłocznie puścił krew,  
zapisał różne leki; całą noc pozostał przy cho-  
rym. Widział on moją trwożę, ale nie wyrzekł  
pocieszającego słowa. Nie śmiałam pytać; prze-  
rażało mnie to milczenie.

Gorączka wzmagała się coraz bardziej, ran-  
kiem medyk odjechał. Powrócił w kilka godzin. Ja tym-  
czasem wyprawiłam posłańca do stolnikostwa — przybyli  
nazajutrz. Sprowadziłam też plebana z parafii: mąż sam  
zażądał Sakramentów świętych naraz go przytomność opu-  
ściła.

Zapalenie płuc postępowało nagle, we dwa dni potem  
chory uspokoił się nieco; dziękował mi za kilka lat szczę-  
ścia, jakich mu Bóg przy mnie udzielił. Skonał z modlitwą  
na ustach

Com ja przeboleła, tego wypowiedzieć nie umiem. Za  
nic nie chciałam pozostać we wsi, którą mąż zapisał mi  
w dożywocie. Wezwałam do rady ojca i chorążego. Sta-  
nęło na tem, że majątek oddałam rodzeństwu nieboszczyka,  
a sama przeniosłam się do Zabrzezia. Tam ojciec urzą-  
dził dla mnie osobny dworek z ogródkiem. Siałam kwiatki  
i zioła, leczyłam chorych na wsi; modlitwa krzepiła mnie  
w duchu. Zajęta pracą, nie myślałam o sobie.

\* \* \*

Tak upłynęło trzy lata. Elżunia raz po raz pisywała  
do mnie: pocieszałam się myślą, że ona przynajmniej szczę-  
śliwa. Z radością powitałam ją, gdy na Wielkanoc przy-  
była do rodziców z mężem i pięcioletnią Urszulką. Oj,  
krótko już miało potrwać to szczęście! W miesiąc po ich  
odjeździe przychodzi dzień jednego do Kowalewa, zastaję  
w domu płacz i lament. Pan Marcin ukazuje mi list z czar-  
ną pieczęcią. To list starożytnego skarbnika, co tylko otrzyma-  
ny. Biedny Kazimierz umarł dotknięty zjadliwą gorączką,  
po kilkoniowej chorobie.

Nagła myśl powstaje w głowie mojej: gdybym też po-  
śpieszyła do Elżuni? ona mnie kocha, mogłabym ulżyć jej  
w tak ciężkiej chwili. Tegoż dnia wyznałam pomysł mój  
chorążynie: uścisnęła mnie całym sercem. Z rodzicami  
trudniej mi jakoś poszło ale i oni zgodzili się w końcu na  
mój wyjazd.

Nie tracąc czasu, puściłam się z wierną służką do zie-  
mi Halickiej, zupełnie mi nieznaną. Było to wiosną; dale-  
ka droga własnymi końmi zabrała mi przeszło dwa tygo-  
dnie, nie donosiłam Elżuni o moim zamiarze, w obawie,  
aby jakaś zapora nie stanęła mi w poprzek drogi.

Pomnę, przybyłam przed wieczorem. Skarbnik krzą-  
tał się koło gospodarstwa, spotkałam go u wrót podwórka.  
Postarzał od lat kilku i powitaliśmy się ze łzami.

— Bardzo źle z naszą Elżunią — rzekł do mnie. —  
Od nieszczęścia, jakie Bóg na nas zesłał, życie ją niejako  
odbiega. Nie płacze nie narzeka, a siedzi pół martwa  
w swej komnacie, nie popieści nawet dziaweczku. Drzę na  
myśl, czy nie przypadnie na nią obłęd.

Weszliśmy do dworku. Skarbnik ukazał mi Urszulkę,  
usunął się, a ja lekko do drzwi zakolałam. Nikt mi nie  
odpowiedział, wchodzę jednakże w prógi.



Czemuż tam okna przysłonięte. W kącie izdebki, na niskim stołeczku siedzi biedna Elżunia, ku ziemi pochylna. Z pod czarnego kornetu, nasuniętego na czoło, nie dopatrzeć rysów, uderza mnie tylko cera jej trupio blada.

— To ja. Marysia twoja! — wołam, wyciągając ku niej ramiona. Nie odrzekła nic, pokryła oczy dłońmi. Obie milczymy długo, zbliżam się wreszcie do niej, chwytam ją w objęcia, przyciskam do piersi. Jakby ockniona ze snu, ryknęła głośnym płaczem. Pierwsze to łzy niebogi; otucha wstąpiła w serce moje. Długo, długo utulić się nie mogła. Łzy jej płynęły potokiem, łkanie zadławiło głos w piersi.

Mrok zapadł — skarbnik zapukał we drzwi, wezwał mnie na wieczerzę.

— Idź — wyszeptła biedaczka — a potem wróc do mnie, Marysiu.

Uczyniłam według jej woli. Za powrotem znalazłam ją znowu uspokojoną. Przyprowadziłam jej Urszulkę

— Biedna sierotko! — rzekła, ściskając dziecinę ze łzami; — Bóg odebrał ci ojca, matka zapomniała o tobie.

Odeszło dziecię widocznie zdziwione tak nagłą zmianą. — Nie będę tu powtarzała roznowy mojej z Elżunią. Przytulone do siebie, pozostałyśmy razem do północy. Słowa nasze tak były poplątane, że trudno wydobyć z nich wątku. Gdy kukulka wydzwoniła dwunastą, ukłękliśmy przed obrazem Najświętszej Panny, odmówiłyśmy razem litanję. Ta modlitwa przerywana łzami, ukrzepiła nas obie.

Nazajutrz z rana pobiegłam do Elżuni, wstała już od godziny, ale w komnatce było ciemno. Odrzuciłam zasłony od okien, słońce błysło na białe ściany.

— Daj pokój! — wyszeptła z cicha. — Słoneczko już nie dla mnie, niech raduje oczy szczęśliwym!

— Słoneczko to dar Boży — odrzekłam — nie wypada nim gardzić.

Skinęła smutnie głową. Wówczas to dopatrzyłam zmianę w biednej Elżuni: rysy jej wyciągnęły się, oczy zapadły, cera pożółkła jak воск, barki nagięły się ku ziemi.

Po wspólnej modlitwie kazała przywołać Urszulkę, wzięła ją na kolana, odmówiła z nią *Zdrowaś Marya* za duszę ojca, a potem trefiła ciemne jej włoski.

Gdy odeszło dziecię, rozmawiałyśmy długo. Myśli Elżuni nie tak się już plątały. W południe pociągnęłam ją prawie gwałtem do wspólnego obiadu, z wielką pociechą skarbnika. Przed wieczorem, otworzyłam okno od ogródka, skąd dobiegała woń bzu i fiołków.

Noc minęła spokojnie: w poranku spostrzegłam już małą zmianę w Elżuni. Powolna memu naleganiu, wyszła z domu na chwilę. Przeminięło parę tygodni; biedaczka pomału wracała do życia z zatrzważającej martwoty.

Nadchodziły Zielone Świątki. W sobotę rano, Elżunia weszła do mego pokoiku.

— Maryni — rzekła — czy pamiętasz, w uroczystym dniu Ducha Świętego od lat najmłodszych, w naszym kościełku parafialnym, przystępowałyśmy razem do Pańskiego Stołu. Zachowałam ten zwyczaj — i ty nie zaniedbałaś go, pewna jestem.

— O tak! — odrzekłam rozradowana. — Łaska Ducha Świętego budzi w nas nowe siły!

Nazajutrz z rana pojechaliśmy do kościoła ze skarbnikiem, wszyscy odbyliśmy spowiedź; po Komunii świętej proboszcz częstował nas gorącym mlekiem. Nastąpiło

uroczyste nabożeństwo. Kościełek wysłany tatarakiem przybrany zielenią, wesoło się przedstawiał. Po Sumie Elżunia drżąca jak listek, powiodła mnie do grobu męża, zdołnego białym kamiennym krzyżem. Ukłękliśmy wszyscy, biedaczka płakała cichutko; te łzy przynosiły jej ulgę. Za powrotem uściśnieła Urszulkę, odmówiła z nią pacierz.

Skarbnik dziękował mi ze łzami

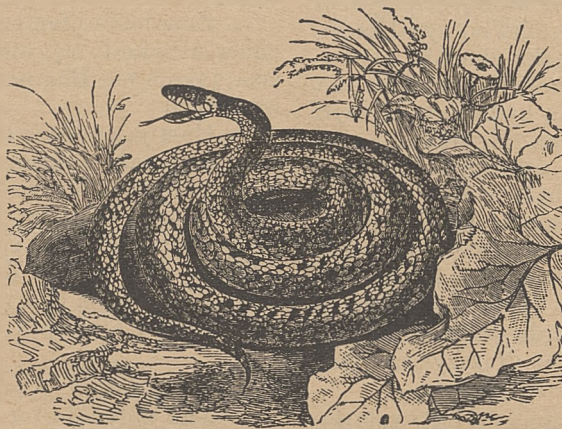
— Duch święty zesłał cię tu, pani łowczyni — rzekł, gdyśmy sami zostali. — Gdyby nie to, Bóg wie co by było z naszą niebogą.

Odtąd każdy dzień przynosił ulgę Elżuni. Dawna krasa nie odkwitła już na jej licu, ale oko, acz zapadłe, połyskało znowu życiem; na czole obok smutku zapanował głęboki spokój.

Odtąd każdego poranku odbywałyśmy coraz dalsze przechadzki. Pięcioletnia Urszulka biegała przy nas, zrywała kwiatki, uganiała motyle. Slicznaż to okolica: zdala poza mgłą rysują się błękitne wierzchołki Karpat, u stóp naszych Wisłoka toczy po zwirze wody swoje, zarosła u brzegu zielonym tatarakiem. Na łące krowy porykują wesoło, od lasu dochodzą dźwięki fujary. Po drugiej stronie wybiega dzwonniczka parafialnego kościołka. Raz po raz zapuszczamy się tam, słuchamy Mszy świętej, opłatamy kwiatkami krzyż grobowy. Co dnia zaglądamy też do chat wiejskich, to z lekarstwem, to z radą, albo życzliwym słowem.

Tak ubiegło lato, nadeszła jesień. Elżunia zajmowała się domem, opowiadała Urszulce bajeczki, ale nie brała się do pióra, jakby ją coś od niego odpychało. Ku zimie dopiero spostrzegłam z radością, że zamknięta w komnatce swojej, pisze coś każdego poranku. Cieszymy się oboje ze skarbnikiem, ale Elżunia o tem nie wie, aż tu jednego wieczora, gdyśmy zasiedli przy kominie, ona sama przynosi nam prześliczny obraz wiosny, tylko co nakreślony. Czyta, słuchamy jej z żywym zajęciem.

(d. c. n.)



Wąż wodny.

B. Dyakowski.

## Węże.

(Dalszy ciąg.)

Z innego znów powodu wąż został uznany za symbol przyrody, odmładzającej się co rok na wiosnę, i słońca, budzącego wszystko do życia w końcu zimy. Węże lenią się parę razy do roku, to jest zrzucają starą skórę i ukazują się w nowej, świeżej. Starożytni Egipcjanie uważając, że przez tę czynność wąż niejako się odmładza, widzieli w tem podobieństwo do budzenia się przyrody na wiosnę, do wzmagania się siły ożywczej słońca w tym czasie. Z tego powodu wąż był u nich poświęcony słońcu i pilnował wejścia do nieba. Służył on także za godło nieśmiertelności, ponieważ miał posiadać sztukę ciągłego odmładzania się przez zrzucanie starej skóry.

W rzeczywistości zaś ta czynność węża nie jest bynajmniej odmładzaniem się, lecz jedynie pozbywaniem się starej i zużytej skóry, pod którą tymczasem wytworzyła się zupełnie nowa i świeża. Życia sobie jednak wąż wcale przez to nie przedłuża, ani nie nabiera nowych sił.

Ale świat starożytny inaczej zapatrywał się na to zjawisko. Wierzono wówczas bezwzględnie w to, iż wąż po-



siada sztukę odmładzania się. Z tego powodu stał się on jeszcze godłem medycyny, symbolem zdrowia i dostarczycielem wielu środków leczniczych.

Taki pogląd na węże znajdujemy u dawnych Greków i Rzymian. Czczono je tam prawie na równi z Eskulapem, bogiem medycyny, i Hygeą, boginią zdrowia. Były one godłem tych obojga bożków. Eskulapa przedstawiano zawsze jako starca z laską, naokoło której owinięty był wąż, a Hygeę w postaci kobiety, której ciało otaczał w kilku kręgach długi wąż: wychylał on głowę z pod jej ramienia i pił z czary, którą bogini trzymała w lewej ręce.

Laska z wężem stanowi i dziś symbol medycyny, jako pozostałość z dawnych czasów; a Hygeę z wężem można zobaczyć w niejednej aptece, chociaż wiara w węże i ich moc leczniczą dawno już zniknęła bezpowrotnie.

W starożytności jednak była ona ogromnie rozpowszechniona. Lekarze rzymscy wprowadzili w użycie mnóstwo środków, przyrządzanych ze żmii i innych węzów jadowitych. Środki te były powszechnie stosowane nie tylko w starożytności, lecz i w wiekach średnich i niektóre dotwały nawet do naszych czasów. Wszystkie zaś cieszyły się tak wielkim powodzeniem, że nie można było nastarczyć łapania i zabijania żmii miejscowych i trzeba było sprowadzać węże jadowite aż z Afryki. Nie było chorób, na któreby nie zalecano leków, wyrabianych z węzów. Różne proszki, przyrządzone z zaszuszonego ich serca lub wątroby, tłuszcz żmii, węże pieczone i gotowane — wszystko to musiało się znajdować w każdej aptece średniowiecznej i żaden szanujący się lekarz nie podjąłby się wyleczyć osoby, poważnie chorej, bez któregośkolwiek z tych środków.

Środki te były, istotnie, korzystne i pożyteczne, ale zupełnie w inny sposób, niż sądzili ówczesni lekarze. Oto przyczyniały się one znakomicie do zmniejszenia ilości węzów jadowitych, które zabijano setkami i tysiącami na potrzeby medycyny ówczesnej.

Dziwny, doprawdy, zbieg okoliczności: to samo, co początkowo zapewniało węzom panowanie i cześć boską, to samo następnie zgotowało im zgubę. Czczone, i pielęgnowane jako godło zdrowia i sztuki lekarskiej, zostały one skazane na zagładę, skoro poczęto z nich samych wyrabiać leki.

W ogóle, jeżeli zestawimy różne podania o węzach i poglądy religijne różnych ludów pogańskich, uderza nas i zastanawia różnorodność zapatrywań się na te stworzenia. Stały się one jednocześnie uosobieniem najlepszych i najgorszych pierwiastków, przedmiotem pogardy i wstrętu w jednych miejscach a czci hoskiej w innych. Nie trudno jednak zauważyć, że ta różnica w zapatrywaniach się na węże ma źródło w części w odmiennym charakterze tych stworzeń w różnych krajach, w części zaś w zwróceniu głównej uwagi na odmienne ich cechy.

Węże nie odznaczają się, istotnie, wielką zmyślnością i wrażliwością, nie są jednak wcale tak złemi i nieczułymi stworzeniami, jak je przedstawiają niektóre podania, okazują one zarówno ujemne, jak i dodatnie cechy w swym postępowaniu. W stosunku zaś do ludzi, jedne z nich są groźnymi i nieubłaganymi wrogami, których należy obawiać się i tępić, inne zaś w pełni nieszkodliwymi i łagodnymi stworzeniami, z którymi można utrzymywać jak najlepsze i najprzyjaźniejsze stosunki.

## II. Węże krajowe.

Gromada węzów obejmuje około 1500 gatunków, z których jednak u nas i wogóle w Europie środkowej znajduje się zaledwie pięć. Najpo-

spolitszym z nich jest tak zwany wąż wodny, dość duży, bo mający przeszło metr (około 2 łokci) długości). Ubarwienie jego bywa zmienne, najczęściej na grzbiecie niebieskawo lub oliwkowo szare z dwoma szeregiem plamek czarnych, pod spodem jaśniejsze białawe lub niebieskawe. Wybitną oznakę stanowią dwie półksiężycowe plamy na skroniach barwy żółtej, z czarną obwódką od tyłu. Po tych plamach łatwo go odróżnić od innych gatunków krajowych.

Wąż wodny znajduje się w całej prawie Europie w okolicach wilgotnych, po lasach i łąkach w bliskości wód, które chętnie odwiedza. Kryjówkę sobie obiera w gąszczach pod liśćmi lub kamieniami i niekiedy osiedla się w sąsiedztwie ludzkich mieszkań, w piwnicach i spichrzach, a nawet zagląda do pokojów. W miejscowościach, obfitujących w te węże, można znaleźć go nieraz we własnym łóżku. Spotkanie niemiłe i przejmujące dreszczem, w gruncie rzeczy jednak nie przedstawiające nic niebezpiecznego: wąż ten na widok człowieka przedewszystkiem myśli o ucieczce i stara się jak najprędzej zejść mu z oczu.

Czasami udaje zucha i, chcąc nastraszyć, wyciąga głowę i syczy, wysuwając cienki rozdwojony język czyli tak zwane pospolicie żądło. Jest to jednak próżna groźba, wąż bowiem nie może ukłuć nikogo tem żądłem, które służy mu jedynie do obmacywania różnych przedmiotów. To też ci, którzy go częściej widują i bliżej znają, nie robią



W jaki sposób dzielni łyżwiarze, Sven Blageron i Kanut Bajdulou, polują na białe niedźwiedzie w swych podróżach po Grenlandyi.



sobie nic z tej groźnej miny i biorą go śmiało w ręce lub odpędzają kijem, jeżeli im zawadza.

Wogóle wąż wodny jest dość leniwy i ociężały. Trzeba go bardzo rozdrażnić, żeby aż użył zębów względem człowieka. Ale ukąszenie jego nie pociąga żadnych złych następstw: nie jest on wcale jadowity; zęby zaś jego są tak maleńkie, iż z zadanej przezeń ranki można wycisnąć zaledwie kroplę krwi. To też nie służą mu wcale do gryzienia, lecz jedynie do chwytania i przytrzymania zdobyczy.

Pokarm jego składają drobne zwierzęta, żaby, jaszczurki, myszy, nieduże ryby, ślimaki, a niekiedy większe owady. Wszystkie te stworzenia ruszają się przeważnie dość zręcznie i prędko tak, że ociężałem i powolnemu węzowi nie łatwo byłoby uganiać się za nimi. Z tego powodu, nie lubi on tracić czasu na bezowocne pościgi, lecz zwinąwszy się w kłębek, wyleguje się spokojnie w słońcu, którego ciepło ogromnie lubi, jak wszystkie w ogóle gady. Nie jest to jednak bezmyślny wypoczynek próżniaka: wąż wysuwa wciąż głowę z pomiędzy licznych zwojów ciała i bacznie wypatruje, czy niema gdzie w bliskości odpowiedniej zdobyczy. Dostrzegłszy ją, stara się przyczoić do niej niepostrzeżenie, poczem chwyta ją zębami i połyka.

(d. c. n.)

## POD STRZECHĄ DOMOWĄ.

*Czy wiesz, schowane za chmury  
Słoneczko złote,*

*Jaką zostawiasz po sobie,  
Ziemi tęsknotę?*

*Jak tutaj zimno i szaro,  
Mglisto, ponuro?*

*Wiatr tylko z jękiem i szumem  
Przeciąga górę...*

*Lecz choć bez ciebie tak smutno,  
Gościu nasz drogi,*

*Można się schronić przed zimą  
W domowe progi —*

*I tam, w bezpiecznym zaciszu  
Złotą snuć przędzę*

*Pracy cierplivej, dobrego czynu,  
Co wspiera nędzę.*

*Można, usiadłszy za stołem  
W kole rodziny,*

*Czytać o mężach, co wielkie  
Spełniali czyny, —*

*I myślą bujać ciekawą  
W ogromnym świecie,*

*Gdzie tyle dziwów przeróżnych  
W całość się plecie.*

*Oto pod lampy jasnością  
Ojciec i matka,*

*Dzieci i starsze i młodsze  
— Cała gromadka!*

*To czyta, tamto się bawi,  
Gwarzą wesóło...*

*Piesek się łąsi, kot figlarz  
Harcuje w koło...*

*Ciepło rodzinne rozgrzewa*

*Duszycki młode;*

*Na myśl nie przyjdzie wyrzekać*

*Na niepogodę!*

*Śnać Bóg, słoneczko, za ciebie*

*Dał na pociechę*

*Rodzinnych uczuć żar święty,*

*Domową strzechę...*

T. Prażmowska.

## Stefek Luty w Brazylii.

przez

Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg.)

Na drugiej półkuli nie brak bezludnych lesistych przestrzeni. Trzeba je wykarczować, uprawić, zbagacić wysiłkiem mózgu i rąk, żeby na miejscu gdzie szumi głucha puszcza zaszumił łan zboża, powstało nowe zbiorowisko ludzkie, nowa ojcowizna.

Wszakże i tu, w starej Europie tak samo przed wiekami brał człowiek ziemię w posiadanie. Bronił mu jej wilk, tur, niedźwiedź, a on na pohamowanie dzikich bestyi miał tylko kamienną siekierę i pałkę drewnianą. Broniły nieprzebyte ostępy, zgniłe moczary, gady wyległe w chłodnej wilgoci lasów. Ale taka jest moc ducha ludzkiego, że zwycięża wszystkie przeszkody. Moc ducha ludzkiego i wola Boża. Sam Bóg wyrzekł do praojca Adama: „Rozradzajcie się i rozmnażajcie, napełniajcie ziemię i czyńcie ją sobie poddaną. Panujcie nad rybami morskimi i nad ptactwem niebieskiem i nad wszelkiem zwierzem, które się rusza na ziemi.”

Ludzkość od wieków i po wiek wieków spełnia i spełniać będzie to przykazanie Boże. Opanowuje ziemię od krańca do krańca, ujarzmi siły przyrody. Służą jej wiatr i piorun, a kto wie jakie jeszcze potęgi zaprzęże człowiek do swego pługą. Ludzie urodzeni w XIX w. mają na dnie serca te same żywiołowe pożądanja i porywy, które mieli nasi przodkowie, kiedy prowadzeni przez ojca gromady, Lecha, trzebili puszcze, żeby zbudować w niej Gniazdo sobie i swoim następcom.

W głowie Stefana Lutego budziły się pod wpływem zasłyszanych rozwinów nowe zupełnie pojęcia i pragnienia. Kończył dopiero w zimie rok 19-ty, ale był silny, nieraz z warsztatu parło go coś w świat. Sierota, miał nazwisko, które dał mu przypadek nie rodzice. Za sobą zostawiał tylko ludzi obcych, dlatego więc nie miałby iść na zdobywanie ziemi. Szło tylu ludzi, pójdzie i on, jeśli koloniści zechcą wziąć go z sobą. O Ameryce opowiadano cuda. Są tam drzewa na których rośnie bawełna, uprzędź tylko a będziesz miał ubranie. Są przecież podobno nawet takie co rodzą gotowy chleb, a z innych płynie mleko, gdy natniesz korę.

Stefana nie nęciły jednak te opisy. Mało cenil chleb, bo dotąd miał go zawsze, suchy, sierocy, ale jednak miał. Bywał głodny, lecz nigdy bardzo głodny. Jemu za oceanem uśmiechał się inny droższy przywilej.

On, nieskończenie niższy od wszystkich urodzeniem, ma prawo w Ameryce żądać, aby ceniono w nim jego człowie-



czeństwo. Biedny znalazł! Chrystus z krzyżowego swe go tronu ogłosił braterstwo ludzkości, a jednak ludzkość nie zrozumiała dotąd Jego Boskiej nauki. Szanować należy cnotę i zasługę, ale niewolno bić czołem przed złotym cielcem przesądów, niewolno krzywdzić bliźnich, trzeba cenić ludzi wedle wartości ich duszy a nie wedle blichtru świata. Równości zupełnej nie może być nigdy. Człowiek silny zdobędzie zawsze więcej niż słaby, zdolny więcej niż ograniczony umysłowo. Kalectwo, choroba, brzydota, nie przestaną kłaść piętna upośledzenia na jednostkach. Taką jest wola Boża i nie nam przeciw niej szemrać, bo nikt wyrokiem Stwórcy dziwić się nie ma prawa. Nam pozostaje tylko nie powiększać przesądem przyrodzonych różnic, kochać braci bliźnich, szanować człowieka bez względu na to czy znaleziono go porzuconego na drodze, czy rodził się w pałacu otoczony przepychem świata. Pamiętajmy zawsze, że Bóg-Człowiek urodził się w żłobie.

Ale czas wracać do naszego opowiadania.

Mówca gromady, Wojciech Skiba zszedł z krzesła, które służyło mu za trybunę. Należało wyruszyć już z popasu w Goślinie, żeby zdążyć przed nocą do Poznania. Kobiety wzięły dzieci na ręce, mężczyźni zabrali tłumoki z pościelą, karczma zaczęła się opróżniać.

Stefan podszedł do Wojciecha. Ten stał przy stole i obliczał należność za popas

— Cztery kwarty mleka po dwa trojaki, dwie bułki chleba, trzy śledzie, wódka, piwo, to razem talar i osiem trojaków, rachowała szynkarka po niemiecku

— Kiedy mnie tyle nie wypada. Cztery, osiem i znowu osiem, czternaście, dwie piątki — liczył chłop po polsku.

Stefek spojrzął na cyfry. Słuszność była po stronie płatnika gromady. Szynkarka bałamuciła w rachunku. Może chciała wyzyskać wieśniaka, który nie znał niemieckiego języka.

— Należy się talar i trzy trojaki. Dorachowaliście pięć trojaków temu gospodarzowi — powiedział Luty, wskazując palcem na cyfry.

— A tobie co do rachunku — ofuknęła karczmarka. Nie dał utargować ani grosza, w kieszeni chleb nosi a do cudzego garnka zagląda. Obiecali ci faktorne, że gardłujesz za nieswojem?

— Gardłuje to gardłuje, kiedy jego prawda — ujął się Wojciech. — Mnie rychtyk tak wypada, talar i trzy trojaki, grosza więcej nie zapłacę. — Rzucił pieniądze szynkarce i spojrzawszy przyjaźnie na Stefka poklepał go po ramieniu.

— Przydałbyć się nam w drodze, bo dobrze rachujesz, a ja tylko po polsku liczyć umiem.

— Tyle liczyć po polsku, co i po niemiecku. Nie sztuka.

— Takiś to zuch? a gdzie idziesz? może i ty do Ameryki?

— Czemu nie? byleście mnie wzięli z sobą. Będę wam służył w drodze i na okręcie.

— A rodzice pozwolą?

— Nie mam rodziców.

— Sierota?

Stefek skinął głową, nie odpowiedział jednak nic. Przecież rodzice jego żyli może, może znajdzie ich kiedy, może mieszkają tu w Goślinie, może przeszedł koło nich, nie domyślając się, że mija najbliższych. Łzy stanęły mu w oczach i potoczyły się po twarzy. Łzami opłacił swój paszport do Ameryki, bo Wojciech nie badał więcej. Poklepał chłopca po ramieniu.

— Wola Boża! idź z nami. A ile masz pieniędzy? pytał jednak przezorny wieśniak.

— Mam siedm talarów.

— Do Bremy wystarczy a tam wsadą cię na szyf (okręt) i zawiozą darmo. Potrzebują ludzi, nie zginiesz?

## Rozdział V.

Podróż. — Znowu pan. — Smoki. — Emigracja. — Indyanin. — Węże. — Pokusy. — Dobra rzecz pieniądze. — Zarobek.

— Nie zginiesz — powiedział Wojciech Skiba Stefekowi. On jednak sądził, że zginął już, tyle doznał wrażeń, tak się czuł opuszczony i zalekły. Pierwszy raz jechał koleją. Jechał wagonem czwartej klasy, wtłoczony w gromadę obcych sobie wychodźców. Nie mógł nawet sięgnąć, bo nie było ławek. Stał, a wagon pędził. Brak powietrza i gorąco dokuczały okropnie podróżnym. Każdy myślał o sobie. Matki karmiły i uspakajały dzieci. Jakiś pijany Niemiec śpiewał, kilka dziewcząt płakało, narzekając, że dały się namówić do wyjazdu za ocean. Wszyscy chcieli pić, ale nikt nie śmiał wyjść z wagonu, chociaż widziano pompy na stacyach. Pociąg minął już ich kilkanaście, coś kiedy nie rozumiejący po niemiecku podróżni nie wiedzieli jak długo na przystanku zatrzymać się wolno.

Stefek zaczyna sobie zdawać sprawę z otaczających go nowych warunków. Czytał nieraz, jak buduje się lokomotywy i majster bywalec opowiadał w warsztacie o swych podróżach koleją.

Inna to jednak rzecz słuchać a inna jechać samemu. Byłby pytał Skiby, ale Skiba zmienił wagon, podczas gdy Stefek znużony pieszą podróżą usnął na worku jakiegoś sąsiada. Obudził się, nie pamiętając, gdzie jest, ani dokąd jedzie, dopiero po chwili odzyskał zupełną świadomość swych losów i patrzył zdziwiony na towarzyszy podróży. Byli to wychodźcy z Królestwa. Jechali od Torunia a różnili się od Wielkopolan nie tylko barwniejszym chociaż uboższym strojem, ale i stopniem rozwinięcia umysłowego, umieli i rozumieli daleko mniej niż gromada, z którą Stefan złączył się w Goślinie.

Jakiś młody parobek pytał starszego chłopca, czy słyssał o tem, że zbudowano już most przez morze?

Stefek się uśmiechnął. Wiedział, co znaczy ocean i że do Ameryki trzeba płynąć kilka tygodni. \*)

Próbował wytłumaczyć to chłopcu, który tak naiwne zadał pytanie, ale go nie rozumiano.

Za to objaśnienia naszego bohatera zrobiły wrażenie na kilku roztropniejszych podróżnych. Widzieli, że Stefek wie więcej od nich, wszczęli więc z nim rozmowę.

— Pan może i po niemiecku potrafi? zapytał jakiś biedak w siermiędze.

— Pan? — Stefek nie wierzył własnym uszom. Nikt go dotąd panem nie nazywał. Znajdą tak, ale panem nikt. Zaczerwienił się i uczuł zadowolenie w sercu.

— Umie po niemiecku — odpowiedział skromnie. Wiadomość zrobiła wielkie wrażenie, otaczający chłopca wieśniacy wytrzeszczyli na niego rozszerzone zdziwieniem oczy.

— Taki młody i taki uczony — mówiły kobiety, kręcąc z niedowierzaniem głowami. — Pewnie i pisanemu poradzi. A może tylko mądrego udaje — pomyślała najstarsza i dla wypróbowania podała Stefekowi obrazek z niemiecką modlitwą. Nikt w Sierpcu, chociaż to miasteczko, nie umiał jej przeczytać co tu napisane. Czy też ten przeczytał?

— Przeczytał, dalebóg przeczytał jak z nut. — Obecnie nie rozumieli słów modlitwy, ale tem więcej właśnie dziwili się mądrości Stefana.

— To pan potrafi i do konduktora mówić, może on powie kiedy będzie można wysiąść, żeby choć kroplę wody dzieckom przynieść — prosiła jakaś stroskana matka.

(d. c. n.)

\*) Dziś podróż tę odbywa się o wiele prędzej. Okręty kompanii przewozowej Lloyda przebiegną przestrzeń między Bremerhawen a New Yorkiem w ciągu sześciu dni.



## Maruda.



— Odrób wszystkie lekcye dobrze, jak należy,  
To na maryonетки pójdiesz ze mną, Jerzy,  
Masz, jak mi mówiłeś, niewiele roboty.  
— Tak, dziś mniej niż zwykle, ojczulku mój złoty,  
Jak to doskonale! jak mnie teatr cieszył!  
— Więc dalej do pracy! niech się synek śpieszy!  
Jerzyk wyjął książki, kajety rozkłada;  
I myśli, od czego rozpocząć wypada:  
— Mam z arytmetyki dwa małe zadania,  
A z tej znów książeczki coś do przeczytania,  
Ot! jeszcze i wierszyk, trzy strofki... i tyle!  
Nauczę się tego prędiutko, za chwilę,  
Albo nie! do zadań zabiorę się może,  
Bo zanim te liczby podzielię, pomnożę,  
To tyle mi czasu zejdzie nad tą pracą.  
Ze nie wiem, czy jeszcze wystarczy mi na co.  
Nie, najpierw przeczytam, pozbędę się tego,  
A potem się wezmę do czego innego. —  
Rozmyśla wciąż Jerzyk, to kładzie, to bierze,  
A choć się wszystkiego nauczyć chciał szczerze,  
Lecz gdzie tam! nie zdążył; marudził chłopczyna  
Teatryk go minął, a czyjaż w tem wina?

*Helena Bojarska.*

## Z życia sławnych ludzi.

— Jakób Cook, znakomity żeglarz angielski, urodzony 1728 roku, w dzieciństwie odznaczał się niezwykłą ambicją i siłą charakteru, co właśnie doprowadziło go do stanowiska, które później zajmował.



Ojciec Jakóba był ubogi, zarządzał niewielkim folwarkiem i to stanowiło całe jego utrzymanie, a że miał ośmioro dzieci, trudno mu było dać im jakie takie wykształcenie.

Ośmioletni Jakób dostał się, jako uczeń, do kupca, a pracując chętnie i uczciwie, byłby może poszedł drogą handlową, gdyby nie zdarzenie, które wpłynęło na zmianę losów chłopca.

Kupiec, u którego Jakób pracował, był człowiekiem zacnym i łagodnym, ale miał żonę prędką i gwałtowną, która, nie umiejąc zapanować nad sobą, często domownikom dokuczała. Była prócz tego podejrzliwa i nikomu nie dowierzała.

Zdarzyło się raz, że kupiec mimo wezwania nie przychodził na śniadanie, czem rozgniewana matka wbiegła do kantoru i zawołała:

— Skończ-że już prędzej tę robotę i chodź na śniadanie, musimy przecież iść do kościoła, a to już tak późno!

— Zaraz, zaraz — odrzekł kupiec powoli — muszę jeszcze raz przeliczyć kasę.

— Czy ci znów czego brakuje?

— Tak, szylinga, (moneta ang. wartości pół rubla) tego nowiuteńkiego, pamiętasz, cośmy wczoraj przy zamknięciu sklepu włożyli do szufladki.

— Ładna historia! niema co mówić! a może to ten twój ulubieniec, Jakóbek, przywłaszczył go sobie...

— Cóż znowu! to uczciwy i porządny chłopiec!

— U ciebie wszyscy uczciwi i porządni, ja jednak myślę inaczej, i teraz muszę dojść, co się stało z szylingiem, zginać nie powinien, ale gdzie Jakóbek?

— Wystąpiłem go na miasto z zamówionymi wczoraj towarami.

— Tem lepiej, przejrzymy swobodnie jego izdebkę i wszystkie manatki.

— Kobieto! co chcesz czynić! — rzekł kupiec.

— To, co uważam za właściwe — odparła rozgniewana żona, i zaraz rozpoczęła poszukiwania.

— Ha! mam złodzieja! — zawołała po chwili, a zawezwawszy męża, służącą i wychowanekę, pokazała im ukryty pod książką szyling.

— Aha! spisał się pan Jakób, ale się ptaszka złapało. Ani chwili pozostać u nas nie może, wypędzę niegodziwca.

— Może to nie ten szyling, może inny?

— mówił nieśmiało poczciwy kupiec.

— Nie ten... nie ten... właśnie, że ten sam, dobrze mu się wczoraj przyjrzałam.



Gdy w jakiś czas potem Jakób powrócił z miasta, pani pryncypałowa zawołała gniewnie:

— Jesteś złodziejem! ładnie nam się odwdzięczasz, okradając nas z pieniędzy.

Jakób słuchał tych słów, ale nie sądził, aby się do niego odnosić miały.

— Ach! ty nędzniku! ukradłeś szyling i schowałeś go pod książkę.

— A... szyling, który tu był w szufladce? — zapytał Jakób, nie rozumiejąc jeszcze dobrze o co chodzi.

— A tak, szyling, tyś go ukradł, ale ja znalazłam, co? może jeszcze zechcesz się zapierać.

— Więc to ja mam być tym złodziejem, to pani do mnie tak mówi! — powiedział stłumionym głosem Jakób.

— Tak, do ciebie, powinnabym oddać cię policyi...

Jakób osłupiał, żal ścisnął mu gardło i słowa wymówić nie mógł, po chwili dopiero, zwracając się do swego pana, rzekł spokojnie:

— Panie! ten szyling był u mnie, bo go wzięłem, ale nie ukradłem, niech mi pan wierzy.

(d. n.)

## Rozmowa z mamą.

**Zosia.** Mama zawsze mówi, że to nieładnie kłamać, a dla czego w książeczkach piszą często rzeczy nieprawdziwe. Przecież wszystko co nieprawdziwe, to kłamstwo, czy nie tak, mamuniu?

**Mama.** Niekoniecznie. moje dziecko; ale cóż tam nieprawdziwego znalazłaś w książeczce?

**Zosia.** A bajeczki, mamuniu. W bajeczkach piszą często o zwierzątkach, ptaszkach, owadach, które rozmawiają zupełnie tak, jak ludzie. Zwierzątka przecież mówić nie umieją, więc to wszystko nieprawda.

**Mama.** Zapewne, ale ten co pisze te bajeczki, nie chce nikogo oszukiwać, wszyscy wiedzą doskonale, że zwierzątka nie mówią. Ale w tych bajeczkach zmysłowych, są zawsze prawdziwe nauki i dzieci, a nawet starsi, mogą z nich dużo korzystać. Taką naukę opowiedzianą w zabawnej bajeczce łatwiej jest zrozumieć i spamiętać. Sens moralny z nauką jest tam zawsze ukryty, niezupełnie wyraźnie wypowiedziany, trzeba go się raczej domyślić. Otóż takie zastanawianie się, wyszukiwanie sensu moralnego w opowiadaniu zmysłowym jest także bardzo pożyteczną wprawą. Czytasz naprzykład w bajeczce, że jakiś mały zajączek sprzeczał się ze swoją mamą, nie zważał na jej napomnienia i zginął. Pewnie od razu zgadniesz jaka w tem jest nauka dla dzieci.

**Zosia.** To znaczy, że i dzieciom także mogą się różne nieszczęścia przytrafić, jeżeli mamy nie słuchają. Ale możnaby taką samą powiastkę o nieposłusznych dzieciach wymyślić; pocóż koniecznie ten zajączek ma rozmawiać ze swoją mamą?

**Mama.** To też bardzo często piszą takie powiastki o dzieciach, ale bajeczki o zwierzętach mogą być daleko zabawniejsze. Od najdawniejszych czasów ludzie mieli zwyczaj wymyślać takie bajki. Nieraz naprzykład, jeżeli jaki mądry człowiek chciał dać naukę innemu możniej-

szemu i silniejszemu od siebie, w taki sposób, aby go nie obrazić, opowiadał mu bajkę o zwierzętach mówiących. Tamten jeżeli był roztropny, domyślał się, że to o nim mowa. W czasach starożytnych żył na greckiej wyspie Samos pewien niewolnik, który układał nadzwyczaj dowcipne i na cały świat sławne bajki, nazywał się Ezop. Był bardzo brzydki, mały, niezgrabny, nogi miał krzywe, głowę ogromną, usta szerokie, ale jak zaczął mówić, zapominało się o jego brzydocie, a mówił zawsze bajkami.

**Zosia.** A czy mama nie zna jakiej bajeczki tego dowcipnego Ezopa?

**Mama.** I ty znasz pewnie niejedną jego bajeczkę, bo wszyscy późniejsi bajkopisarze, nawet nasz Krasicki, powtarzali często różne pomysły Ezopa. A kto wie, może to nie on sam to wszystko wymyślił, ale słyszał od innych ludzi i tylko umiał rzecz każdą takim zajmującym sposobem opowiedzieć.

**Zosia.** A dla czego był niewolnikiem ten biedny Ezop?

**Mama.** Bo dawniej u wszystkich narodów było zawsze dużo niewolników, często nawet uczeni ludzie byli niewolnikami, jeżeli się w tym stanie urodzili. Ezop miał dobrego pana, który poznał się na jego wartości i wolnością go obdarzył, a dla swego rozumu był powszechnie szanowany, a nawet zjedną sobie łaskę króla lidyjskiego, Krezusa. Zdarzyło się raz, że mieszkańcy wyspy Samos obrazili tego króla, on im zemstą zagroził i wyruszył na nich z ogromnym wojskiem. Wtedy przestraszeni Samiejczycy wysłali do Krezusa owego mądrego Ezopa, ażeby go przebłagał. Lecz król, zobaczywszy tak brzydkiego człowieka, myślał, że chyba na żarty wyprawiono do niego takiego posła i jeszcze się więcej rozgniewał. Wtedy Ezop wedle ówczesnego zwyczaju padł przed królem twarzą do ziemi i powiedział mu następującą bajkę:

„Pewien człowiek łowił szarańczę na swoim polu i przypadkiem napotkał konika polnego. Chciał go zabić razem ze szkodliwą szarańczę, gdy konik odezwał się do niego: — Cóżem ci winien, że tak okrutnie chcesz ze mną postąpić? Ja nie pożeram twego zboża, żadnej ci szkody nie wyrządzam, tylko śpiewam sobie rano i wieczorem. Potężny monarcho! ty jesteś owym człowiekiem, a ja nędznym konikiem polnym, i nie chciałbym cię obrazić mową moją.”

Dowcipna ta bajka, podobała się bardzo Krezusowi, a Ezop ośmielony, opowiedział mu jeszcze wiele innych, aż w końcu rozbroił króla zupełnie i wyprosił przebaczenie dla swoich współziomków. Krezus zatrzymał go nawet na swoim dworze i obsypał zaszczytami i bogactwami.

## POSELSTWO Z KRAINY CZARÓW.

(Dalszy ciąg).

— Wiosna opóźnia swoje przybycie! — zamruczały pączki. — Więc nigdy, nigdy, nigdy się nie rozwiniemy!

— Bądźcie spokojne; macie jeszcze dużo czasu! — odpowiedziały gałęzie. — Idźcie spać! idźcie spać, jeżeli nie chcecie, żeby was mróz pochwylił.



— Ale co się to stało? — badała wiewiórka.

— Nie wiem dokładnie — odpowiedziała jodła — ale moja dobra znajoma brzoza, mieszkająca na polance, opowiadała czubatej sikorce, która mi to powtórzyła, że na wczorajszym balu nikt nie tańczył, bo zaszły jakieś nieporozumienia i sprzeczki, i że dziś rano żadna z wrózek nie wzięła się do roboty.

— A co na to królowa? — zapytał dąb.

— Wezwała czarodzieja z pod bieguna na naradę — objaśniła jodła.

— No! no! — szepnęła modrzew. — Więc aż do tego doszło?

— A to taki zimny gość! — powiedział dąb, potrząsając gałęziami.

— On i królowa naradzają się teraz — oznajmiła sikorka, przeskakując z gałęzi na gałąź, — zajrzałam przez okno do pałacu i widziałam.

W tej samej chwili powiał wiatr, wołając:

— Wszystkie wróżki i chochliki mają się stawić przed obliczem królowej. Wszystkie! Wszystkie! Wszystkie!

— POCO? — zapytał dąb.

Ale wiatr był zanadto zajęty, żeby mógł się zatrzymać i odpowiedzieć na zapytanie starego przyjaciela.

— Idą już, idą! — zawołała jodła.

I ukazały się całe szeregi starych, zgarbionych niemal i młodych boginek, dążących do pałacu na wezwanie królowej.

— Ale poco je wezwano do pałacu? — zapytał młody modrzew.

— Tego nie mogę ci powiedzieć — odrzekł stary. — Musimy zaczekać na drugi powiew wiatru, który nam przyniesie wiadomości.

— Nie będę czekała! — zawołała wiewiórka. — Pójdę sama do pałacu.

Ale drzewa musiały czekać na miejscu. Nie czekały jednak długo, bo jeden powiew wiatru za drugim wiał po lesie i przynosił nowiny. Jeden wezwał wszystkich chochlików przed oblicze królowej: drugi wszystkie zaczarowane zwierzęta: trzeci — czarnoksiężników, karłów i krasnoludków.

Cały las wypełnił się dążącymi na wezwanie. Trzy niedźwiedzie, biały kot, zaczarowana gęś, szły na czele korowodu zwierząt, a reszta wezwanych za nimi.

Młody modrzew był niesłychanie zaciekawiony.

— Chciałbym też pójść do pałacu! — zawołał. — Ciekawy jestem, co się dzieje i jak się to skończy.

— Bądź cierpliwy, a dowiesz się o wszystkim w swoim czasie — upewniała go jodła.

— Ptaki i wiewiórki powiedzą nam — dodał kot. — Czego nie domówią wichry, one dopowiedzą.

Zaledwie dąb wymówił, przyfrunął ptaszek i usiadł na jego gałęzi.

— Taki hałas w pałacu królowej, że nie mogę nic usłyszeć — zaświergotał ptaszek. — Siedziałem dopóki nie zaczął mi się przyglądać Czarny Kot, wtenczas uciekłem.

— Nadchodzi nowy wiatr — zawołała jodła.

Nowy przybysz powiał tak potężnie, że aż ułamał gałąź staremu modrzewiowi i ryknął mijając go, potężnym głosem:

— Miejsce dla Czarodzieja z pod bieguna.

Poruszyły drzewa gałęziami, ostrzegając pączki, by się lepiej skuliły zanim ich dojdzie mroźny oddech Czarodzieja. A w chwilę potem zawirował w powietrzu ponury przybysz, okryty szarą opończę sinawych chmur: był rozgniewany i pędził, nie oglądając się ani na prawo ani na lewo. Drzewa schylały przed nim głowy, gałęzie ich drżały i kołysały się, a pączki stuliły się z przerażeniem. Ptaki przestraszone kryły się pod resztkami liści i między obnażonymi gałązkami.

Po przejściu Czarodzieja zaleźnione drzewa nie śmiały się rozprostować i milczały; pierwszy wdrygając się przemówił młody modrzew.

— Dobrze, że ten gość tak rzadko u nas bywa.

— Był dziś bardzo zagniewany — zawołała jodła. — Nie widziałam go jeszcze nigdy w podobnym gniewie. Co się to stało? A! powraca wiewiórka. I ptaszki wracają; dowiemy się o wszystkim.

— I cóż? — zapytał dąb, gdy sikorka usiadła na gałęzi.

— I cóż? — dodał modrzew, zwracając się do wróbla.

— I cóż? — badała wiewiórkę jodła.

— Niedobrze! niedobrze! bardzo źle — zaszczębiotały ptaki chórem.

— Nikt nie będzie pracował w krainie czarów — objaśniła wiewiórka. Wieszczyki i chochliki wymówiły posłuszeństwo królowej.

— Nie będzie jagód, a my zginiemy z głodu! — zaświergotały żałośnie ptaszki.

— I cóż zostało postanowione? — zapytały drzewa.

— Dwie najśmielsze wróżki, Krętogłówka i Przekornatka, wyruszają na ziemię z czarodziejskimi darami, żeby się przekonać czy te dary zachowały jeszcze jaką wartość, czy mają dotąd wpływ na ludzi, czy nie.

— Ach! — westchnął dąb — nieszczęśliwy to był dzień, gdy opuściła nas najstarsza i najmędrza z wieszczek, żeby zamieszkać na ziemi, między śmiertelnymi. Mogłaby była dać niejedną dobrą radę tej nierozsądnej młodzieży!

— Może tam, na ziemi, nauczy ona rozsądku Krętogłówkę i Przekornatkę.

— Nie zechcą jej słuchać — pomruknął dąb. — Młodzi nie słuchają jej nigdy!

— A jak się ta wieszczka nazywa? — zapytał młody modrzew.

— *Doświadczenie* — objaśnił go stary. — Mądra to i dobra wieszczka.

— Naturalnie, będą miały dużo przykrości — zrobiła uwagę wiewiórka — ale i nauczą się dużo. A jeżeliby się przekonały, że Czarny Kot miał słuszość, że wieszczki postradały władzę nad sercami ludzi, wtedy nowa królowa zostanie wybrana..

— Wszystko będzie nowe! — zaświergotał czyżyk.

— A jeżeli królowa ma słuszość? — zapytała wiewiórka.

— Wtedy wieszczka wymierzy karę — odparł stary dąb. I będą musiały prosić królowę o przebaczenie.

— Zobaczmy! Zobaczmy! — powtórzyła wiewiórka.

(d. c. n.)

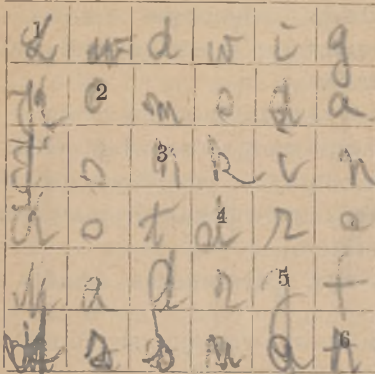


## ZAGADKA.

Jestem niby zakonnikiem,  
Nie rozmawiam nigdy z nikim,  
Mieszkam zawsze, jakby w grobie,  
I zawsze chodzę w żałobie,

## ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

ul. Staś z Kurska.



W kwadracie o 6 przedziałkach ułożyć wyrazy, którychby litery oznaczone liczbami złożyły nazwę stolicy państwa europejskiego. Znaczenie wyrazów: 1 rząd. Imię męskie. 2) Sprzęt domowy. 3) Miasto w Chinach. 4) Przykrycie dla ciepła. 5) Stolica w Europie. 6) Miasto n. Nilem. Sylaby: an—da—da—dra—dryt—kin—ko—kol—kad—ma—mo—su—ton—wsk—su.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru. 4-go:

Zagadki: O — ka.

## Łamigłówniki w kwadracie:

K o n r a d  
M o d r a k  
B a l t y k  
T u l u z a  
S a l a m i  
J e d w a b

## Skrzynka do listów.

Bardzo to dobrze, Tuhaj-beju, że chociaż przybrałaś sobie tatarskie miano, nie obchodzisz się po tatarsku z Wieczorami i innymi książkami. Wysłałyśmy ci żądane numera i całą powieść „Dziedziectwo Karola Wielkiego”. Pisziesz, że te brakujące numera pożyczylesz znajomym, którzy je gdzieś zapodzielili i nie zwrócili. Niestety, jest to u nas ogólną wadą, że zapominamy o pożyczonych książkach i często ich nie oddajemy, nie uważając tego wcale za coś złego. Najzaciewniejsze osoby, któreby kopiejki cudzej nie zatrzymały, przez jakieś dziwne niedbalstwo, czy lekceważenie nie zwracają pożyczanych książek, a przecież książka posiada także wartość materialną, nie mówiąc już o stokroć większej wartości duchowej. Z powodu tego nagannego a tak zakorzenionego zwyczaju wielu posiadaczy cenniejszych księgozbiorów wcale nie wypożycza książek, niektórzy zaś na ostatniej stronnicy wybijają specjalną pieczęć z napisem: *Reidde quod debes* (oddaj coś winien). Chcielibyśmy bardzo, aby czytelnicy „Wieczorów Rodzinnych” unikali tej wady i starali się wypełnić ją w kole swych rówieśników. Najlepszym środkiem do tego jest zapisywanie wszystkich książek i pism, zarówno tych, które się bierze samemu, jak i tych, które się wypożycza innym: pierwsze święcie oddawać, a zwrotu drugich wymagać stanowczo, nawet żądając odkupienia w razie zguby, bo kto raz odkupi zgubioną cudzą książkę, ten będzie już na przyszłość lepiej jej pilnował. Żądania twoje nie złe, lecz potrzebują poprawek. Takich słów, jak *kapotem*, *raży* niema w naszym języku.

Helenie Olszam. Żądane numera wysłałyśmy, należy się za nie kop. 30.

Januszkowi W. Bardzo nam miło, że Wieczory są dla ciebie tak pożądaną rozrywką w czasie choroby. „Stefek Luty” nie prędko się skończy. Wracaj prędkiej do zdrowia i pisuj do nas.

Od rodzeństwa z Petersburga otrzymaliśmy: na budowę *kościółka Zbawiciela* w Warszawie 1 r. 50 k. i na *Kolonie letnie* 1 r. 50 k.

Dobre rozwiązania i zadania własnego układu nadesłali: Tuhaj-Bej, Złota Różyczka, Chłopak, Aleksander A. Grażyna, Genio B, Zofia z Bronowic, Elutka Mierzwińska, Jadzia Nowicka, Niezabudka, Kmicic, Podlasianka, Lilla Weneda z Satyjowa, Roma Wejssówna, Jaś F. Jurańd ze Spychowa (a nie z Sychowa) i Wilk z Sosnowca.

Małemu Jasiowi. Konkurs na kaligrafię ogłosimy w Nr. 7-ym lub 8-ym. Przygotuj więc dobre pióro!

Dziwię się kochana Podlasianko, że nie wiesz, o czym do mnie pisać, a przecież to tak łatwo; pisz mi o sobie, o tem, czym się zajmujesz, o czym marzysz, jakie masz upodobanie i. t. p. Wszystko to mnie niezmiernie zajmuje, a pisząc listy, sama przez to lepiej poznajesz siebie. Kiedy ci zadadzą trudniejsze wypracowanie, to po fakta i wiadomości zajrzyj do właściwej książki, a rozumowanie i układ myśli czerp z własnej główki, nie zniechęcając się tem, że trzeba się trochę pomęczyć. Bliższe wskazówki znajdziesz w artykule „Jak się uczyć,” niedawno ukończonym w Wieczorach.

Twoje zagadki, Lillo Wenedo z Satyjowa, są dowcipne, ale zdaje mi się, że zanadto znane, może jakie inne ułożysz. U nas w Warszawie, choć trochę mroźniej, ale śniegu do ostatniego czasu nie było wcale. Oczekuję od ciebie obszerniejszego listu, zarówno jak od Kmicica, którego chętnie do grona swych korespondentów zaliczam.

List twój, Czarnuszko z nad Bugu oddałam autorce „Atlanty” która zechce może sama skreślić ci odpowiedź w naszej skrzynce: sądzę, że to będzie dla ciebie bardzo przyjemne.

O Niezabudko! nie myśl, żebym miała czas wynajdywać ci wyrazy do arytmogryfów i to takie rzadkie, zaczynające się od y. Sama z siostrą łam nad tem głowę, bo kto chce być autorem, ten musi tworzyć samodzielnie.

Dalekiej Elżuni. Odpowiem na twój list ustępami z „Prządki” naszej czcigodnej przyjaciółki Seweryny Duchieńskiej:

„Przędę ja wiernie kądziel mą białą,

Przędę od świtu do nocy,

I cicha prządka, wzywam nieśmiało

Anioła-Stróża pomocy.

A gdy odemnie Stróż mój daleko,

Gdy z nieba pomoc nie splywa,

Wolno się w pracy godziny wleka,

Szara nić mego przedziwa.

Pomnę ja jednak, mawiała matka,

Wola wszystkimu podola,

Wyteżaj siły twe do ostatka,

A Bóg ci ześle anioła.”

Łochozwiance. Wasza kartka z potrójnym podpisem wielką mi sprawiła przyjemność, zwłaszcza ostatni podpis X. Michała R. prawdziwym jest zaszczytem dla Jaskółki. Pomimo zapowiedzi, że mnie obmawiacie, jakoś nie zlekłam się tego, bo przecież prawdziwe przyjaciółki nie obmawiają złośliwie, a trzeci uczestnik rozmowy nie pozwoliłby na to. Wybieram się wysłać ci wzajem ładną kartkę.

Marysieńce Łub. Brakujące Nra. redakcja ci wysłała, a niektożymi zeszlórocznymi może jeszcze służyć. Czekam od ciebie dłuższego listu.

Wasza Jaskółka.

## Wymiana ilustrowanych kart pocztowych.

Stanisław Sunderland. (Petersburg. ul. Możajska N 7. m 9) prosi o nadesłanie ilustr. kart pocztowych, które wzamian wysłać będzie.

Uwaga Redakcyi. Pomieszczamy bezpłatnie zawiadomienie prenumeratorów naszych o wzajemnej wymianie ozdobnych kart pocztowych za zezwoleniem ich rodziców lub opiekunów.



## Rozrywki naukowe bez przyrządów.

### Taniec elektryczny baniek mydlanych.

Rozrób sobie wody z mydłem i dodaj do niej trochę gliceryny, a z otrzymanej tak mieszaniny bańki mydlane będą nadzwyczajnie duże i pięknie zabarwione tęczowemi kolorami.

Z baniek podobnych można zrobić kilka efektownych sztuk magicznych.

Wiadomo, że tkaniny wełniane naprz. flanela, sukno, dobrze wysuszone, mogą służyć za podporę dla bańki mydlanej i uchronić ją od szybkiego pęknięcia. W zimie mając rękawiczki wełniane możecie nawet podzierać taką bańkę albo grać nią z inną osobą także w rękawiczkach wełnianych niby piłką.

Zrób kilka ładnych baniek i rzuć je na stół przykryty suchą wełnianą serwetą, następnie weź ćwiartkę papieru mocnego, osusz go nad lampą albo świecą i potrzej energicznie przeciągając pod pachą, albo między ściśniętymi kolanami. Jeżeli masz na sobie odzież wełnianą albo jedwabną, to wskutek tarcia kartka papieru naelektryzuje się bardzo silnie. Przytykając ją do twarzy, albo do jakiegokolwiek bądź innych przedmiotów, usłyszysz leciutki trzask wyskakujących z niej iskierok elektrycznych, które łatwo dostrzedz w ciemnym pokoju. Naelektryzowany papier przylepia się sam do ściany, albo do pieca.

Zbliży go teraz do naszych baniek, leżących na serwecie, a zobaczymy, jak się one wydłużają, przybierając postać jajek i w końcu opuszczają serwetę, idą w górę i przyczepiają się do papieru niby małe balony.

Manewrując zręcznie elektryzowanym papierem, można sobie urządzić prawdziwy taniec baniek mydlanych.

Można i w inny sposób spożytkować siłę przyciągającą naelektryzowanego papieru, urządzając karuzelę czarodziejską.

Prosty kijek, naprz. ołówek, laskę cienką, linię, ogrzewszy pierw, połóż na dnie odwróconego do góry kieliszka na szklanym przycisku, bacząc, ażeby przedmiot znajdował się w równowadze i popchnięty obracał się z łatwością.

Skoro zbliżysz do jednego z końców kijka czy też metalowej łyżki ćwiartkę naelektryzowanego przez potarcie papieru, to ten będzie dążył do zetknięcia się z papierem; odsuwając ciągle papier zmusisz linię czy też kijek do szybkiego obrotu.

Jeżeli pocierając papier będziesz wymawiał pod nosem jakieś zaklęcia naprz. hokus pocus, hodacum, hurpiacum spiryantus... i powstrzymasz się na razie od wyjaśnienia prawdziwej przyczyny zjawiska, to twoja czarodziejska karuzela wzbudzi ogólne zdumienie tych, co nie znają fizyki. Chcąc jednak, ażeby się sztuka udała, trzeba papier i okręcający się kijek często ogrzewać nad płomieniem.



Mamy koło, złożone z 12 chłopców: sześciu czarnych i sześciu białych, z których przez losowanie trzeba usunąć połowę. Losowanie odbywa się w następujący sposób: wybiera się dowolną liczbę, byle nie jedność, i rozpoczyna rachowanie: jeden, dwa, trzy i t. d. od któregośkolwiek z chłopców w jakimkolwiek kierunku. Każdy, na którego padnie owa wybrana liczba, wychodzi z koła, poczem rachuje się dalej z pominięciem wylosowanych, dopóki z koła nie wyjdzie w ten sposób sześciu chłopców. Jaką należy wybrać najmniejszą liczbę, od którego z chłopców i w jakim kierunku rozpocząć rachowanie, aby wylosować bądź pięciu czarnych i jednego białego, bądź jednego czarnego i pięciu białych.

Za najlepsze rozwiązanie tej łamigłówki, nadesłane w ciągu lutego r. b. przyznamy nagrodę: „Trzydzieści lat wśród dzikich L. Rougemonta,„ albo „Juraś i Anulka.”

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 3-go.

Szarady: Wy — py — cha — nie.

### Łamigłówki sylabowej:

- 2) Czerwiec. 2) Żytomierz. 3) Antwerpia. 4) Sezostrys.
- 5) Piłat. 6) Łotr. 7) Alaska. 8) Czerwiec. 9) Ili.

Czas płaci — czas traci.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii rocznie koron 13. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA MAZOWIECKA NR. 10.

TREŚĆ: W Suchowskim dworze, przez Zofię Kowerską. — Wspomnienia pani Łowczyń o Elżbiecie z Kowalskich Drużbackiej, przez Sewerynę Duchinińską. — Węże, przez B. Dyakowskiego (z ryc.) — Polowanie na nieoźwiedzia (z ryc.) — Pod strzechą domową, wiersz p. T. Prażmowska. — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką (z ryc.) — Rozrywki naukowe bez przyrządów. — Łamigłówki i rozwiązania. Dodatek: Małe praczki przez E. L. (z ryc.) — List z nad morza Łodowatego. — U stolarza, przez Janusza. Poselstwo z krainy czarów, opowiedział B. Buyno. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Dworzani królewicza Jakóba, przez Teresę Jadwigę.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою. Варшава 14 Января 1902 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.





### MAŁE PRACZKI.

**Mama.**

Czemże się tak bawicie dziś, moje panienki?  
Oddawna słyszę, jak się śmiejecie wesoło.  
Ale cóż to ja widzę, zmoczone sukienki,  
Jakieś plamy, mydliny, woda naokoło!

**Terenia.**

Ej! mameczko to tylko takie małe znaczkę,  
Za chwilę nawet po nich śladu nie zostanie.

**Jadzia.**

Widzisz droga mameczko! bawimy się w praczkę;  
Lalka w wózku — to pani i u niej jest pranie.

**Mama.**

A to mi śliczne pranie! koszyki otwarte  
Wszystkie ubranie lalki do poznania trudne,  
Cienkie białe fartuszki zmięte i podarte,  
A same panny praczkę zmoczone i brudne.

**Terenia.**

Ja to wszystko na nowo wnet uporządkuję!  
To dopiero początek, do końca daleko.

A gdy wszystko popiorę, gładko wyprasuję,  
Będzie cała bielizna, jak śnieżek, jak mleko.

**Jadzia.**

Lecz mama prawdę mówi!... o mój Boże miły!  
Będziemy miały kłopot z dzisiejszej zabawki,  
Zamiast wyprać sukienki, myśmy je zbrudziły,  
Oberwały falbanki, wyciągnęły wstawki.

**Mama.**

Widzicie! same sobie zrobiłyście szkodę.

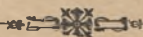
**Terenia.**

O mameczko najdroższa! a nam się zdawało:  
Że byle mieć pod ręką mydło, krochmal, wodę,  
To i dosyć!...

**Mama.**

Nie dzieci! to jeszcze za mało.  
Samo mydło i woda brudu nie wypierze,  
Trzeba wiedzieć, jak swemu podobać zadaniu;  
A ten, co nie umiając, do czegoś się bierze,  
Wydzie zawsze tak pięknie, jak wy na tem praniu.

E. L.





## List z nad morza Lodowatego.

**L**eden z naszych prenumeratorów mieszka aż nad brzegiem morza Lodowatego, w miasteczku Kole, najbardziej wysuniętem na północ ze wszystkich miast Rosyi Europejskiej. Leży ono o 152 mile od Archangielska w kierunku północno zachodnim, między rzekami Tułomą i Kołą, liczy około 1500 mieszkańców.

Mały nasz prenumeratorko koresponduje czasami z Jaskółką. Podajemy tu ostatni list jego, świadczący o tem, w jakich warunkach żyją ludzie na dalekiej północy.

*Koły, gub. Archangielska 12 Listopada 1901 r.*

*Kochana Jaskółko!*

*Po otrzymaniu odpowiedzi na mój list pisany w sierpniu, chciałem zaraz odpisać, lecz nie mogłem z powodu bezdroża. Latem t. j. przez cztery miesiące chodzi poczta z Archangielska do Koły i z Koły do Archangielska wodą, statkami, a zimą lądem, reniferami do pół drogi, a dalej końmi. W jesieni zaś kiedy statki przestaną chodzić, a reniferami jeździć nie można, bo drogi żadnej niema, to ze dwa miesiące trwa przerwa. Trzeba czekać, żeby wszystkie rzeki i jeziora pozamarzały, a także, żeby upadło dużo śniegu dla wyrównania wszystkich dołów, pagórków i kamieni, znajdujących się po drodze, wtenczas dopiero można jeździć.*

*Na wiosnę, gdy rzeki i jeziora rozmarzną i śnieg stopnieje, znowu poczta nie chodzi, bo tu żadnej drogi niema!*

*Proszę sobie wyobrazić, Jaskółko, jak to smutno tak długo nie otrzymywać ani listów, ani gazet, i nie wiedzieć nic, co porabiają nasi wujciowie i ciocie!*

*Wszystkie powieści, które czytałem w „Wieczorach” bardzo mi się podobały, czytałem je kilka razy z wielką przyjemnością.*

*Zostaję z szacunkiem dla kochanej Jaskółki*

*Wieloryb.*

*P. S. Bardzo przepraszam „Jaskółkę,” że nie piszę na listowym papierze, ale jest śliski i pisać na nim nie udaje mi się.*

*Wieloryb.*

## U STOLARZA.



leś wrócił ze szkoły jakiś zamyślony. Naprawdę mała siostrzyczka jego Jania, zachęcała go do zabawy. Usiadł na krześle i przypatrywał się przez okno na ludzi przechodzących ulicą, na dorożki i tramwaje.

— Co ci jest, Olesiu? — zapytała mama — czyś dostał zły stopień?

— Nie, mameczko, nie odpowiadałem dziś wcale.

— Więc czemu nie chcesz bawić się z Janią, czemu jesteś smutny?

— Nie, mameczko, nie jestem smutny, tylko...

— Może jesteś chory? — zapytała z niepokojem mama.

— Nie, ale widzi mama... Frontowe schody są świeżo malowane, więc wracałem ze szkoły przez schody kuchenne.

— I cóż dalej?

— Na parterze — ciągnął Oles — mieszka stolarz. Drzwi od jego mieszkania były otwarte. Stałem i przyglądałem się, jak pracował. I przyszło mi na myśl, że on musi być chyba biedny, niema przecie ani obszernych pokojów, ani mebli ładnych, ani książek ciekawych do czytania, a pomimo to jest zawsze wesół, zadowolony, często sobie śpiewa. Prosił, abym wszedł do niego, jeżeli zajmuje mnie jego praca, ale nie wiedziałem, czy mama pozwoliłaby.

Mama uważnie słuchała Olesia, a kiedy skończył i zwrócił ku niej pytające spojrzenie, rzekła:

— Stolarz ten, moje dziecko, dlatego jest wesół, że jest szczęśliwy, a do szczęścia nie potrzeba ani pięknych mebli, ani dużych pokojów.

— A czego potrzeba, żeby być szczęśliwym?

— Trzeba mieć zdrowie i czyste sumienie. Franciszek pracuje, zarabia, ma żonę pocziwą i dzieci posłuszne i pilne, więc jest szczęśliwy, chociaż ubogi.

— A mama pozwoli mi pójść czasem do niego? Bo obiecałem mu, że wrócę, jak odniosę książki.

— Dlaczegoś mi o tem odrazu nie powiedział, Olesiu?

— Bo się obawiałem, że mama rozgniewa się na mnie. A jemu sprawiłoby przykrość, gdybym nie powrócił. Mógłby pomyśleć, że jesteśmy zarozumiali.

Mama uśmiechnęła się.

— Idź, Olesiu, ale pamiętaj na przyszłość nie ukrywaj przede mną, a ja postaram się zawsze zadość uczynić twoim prośbom, albo wytłómaczyć ci ich niesłuszność.

Oleś pocałował mamę w rękę i z radością pochwyił za czapkę.

— Mamusiu, i ja pójdę — prosiła Jania.

— Weź więc i Janię, Olesiu?

— Dobrze, mamusiu.

— Ale pamiętaj, idź z nią ostrożnie po schodach.

Oleś wziął Janię za rączkę i zeszedł do izdebki stolarza. Widzieli tam tyle ciekawych rzeczy, widzieli, jak się wygładza heblem drzewo, jak się je tnie piłą, jak się skleja, jak polituruje, jak się na tckarni toczy przemyty okrągłe. Pocziwy stolarz wszystko im pokazywał, objaśniał i obiecał nauczyć Olesia robić z drzewa niektóre rzeczy, i dzieci na wezwanie przysłanej przez mamę słuchającej — wesoło opuściły mieszkanie stolarza.

— Mamusiu, jacy to kochani ludzie — zawołał Oleś, wbiegając do pokoju, czy mama pozwoli mi zapoznać się także z jego synem i częściej chodzić do nich. Zrobię u nich krzeselka dla lalek Jani.

*Janusz.*



## POSELSTWO Z KRAINY CZARÓW.

(Dalszy ciąg).



Przestańcie słuchać królowej wieszczek i pracować dla niej! — wołał Czarny Kot.

— Tak! tak! ma słuszność! Nie będziemy pracowały — wołały wieszczki i chochliki, nie pomnąc, niewdzięczne, dobroci i łask królowej.

W tej chwili zaczęły dzwonić niewidzialne dzwonki oznajmiając przybycie królowej. Wieszczki i chochliki rozbiegły się, Czarny Kot zeskoczył z pnia i ukrył się za krzakiem jałowcu.

Królowa wjechała na polankę, piękniejsza jeszcze niż zwykle. Suknia jej z białych i różowych listków złoceń polyskiwała zmrożonemi kroplami rosy, rozsianemi po niej, ale nie uśmiechnęła się królowa łaskawie, jak to było jej zwyczajem, i nie odpowiedziała skinieniem głowy na pokłony zebranych. Była posępna i spoglądała surowo.

Jakaż była przyczyna jej złego humoru? Czy obawiała się bliskich odwiedzin Zimy? Czy myślała z niechęcią o chłodzie, mrozach, ciemnych nocach i dniach posępnych, jakie ten niepożądany gość z sobą przyniesie?

A może słyszała coś o niezadowoleniu poddanych? Może dojrzała Czarnego Kota, uwijającego się między wieszczkami i podmawiającego je do nieposłuszeństwa? Na tej polance gdzie zawsze rozlegały się śmiechy, gdzie tak wesoło szły tańce i zabawy, teraz słycać było tylko zuchwałę pogróżki i żądania.

Posłyszał je wietrzyk, pochwyił, rozsypał po ziemi i w powietrzu, i doniósł widać do uszu królowej, która wchodząc na stopnie tronu — zadrżała,

Gdy usiadła, dzwony umilkły, i nastąpiła chwila ciszy. Wtedy wystąpiła z tłumu jedna z najbardziej niezadowolonych wieszczek, Przekornatka, złożyła niski ukłon królowej i przemówiła:

— Królowo! pragniemy mówić!

Królowa skinęła głową na znak zezwolenia.

— W dawnych czasach — mówiła Przekornatka — wróżki i chochliki schodziły na ziemię, dopomagały ziemskim dzieciom, zdobywały ich miłość a sławę dla siebie. My młode wróżki nie byłyśmy dotąd na ziemi. Prosimy cię więc, o! królowo! daj nam czarodziejskie różdżki, daj nam moc i władzę i pozwól nam zejść na ziemię i poznać z ziemskimi dziećmi!

Królowa miała odpowiedzieć, gdy wystąpiła jedna ze starych wrózek, tych złych, które lubią tylko szkodzić, a nie pomagają nigdy.

— Na nic się wam nie zda ta władza i moc czarodziejska — zawołała chrapliwym głosem. — Władza wrózek nad ludźmi przepadła! Wieszczki bezsilne są teraz — nie mogą czynić ani źle ani dobrze.

Królowa podniosła się zwolna i skinęła berłem, a jej srebrzysty głos rozległ się na polance.

— Czego żądacie ode mnie? — zapytała. — Władzy?

Ależ każda wieszczka ma władzę nad sercami dzieci ziemi.

— Żądamy niezależności! — odezwały się głosy w tłumie.

— Najpierw nauczcie się używać tego co macie — odrzekła surowo królowa. — Używać rozumnie, z korzyścią dla ludzi. Potem dostaniecie więcej. Teraz nie dam wam nic!

— Władza wrózek nad sercami ludzkiemi przepadła! — powtórzyła zła wieszczka.

— Nie przepadła! — zaprzeczyła królowa, marszcząc gniewnie brwi.

— Więc dlaczego siedmiomilowe buty stoją podarte i nieużywane? — zagadnęła druga młoda wróżka, Krętogłówka.

— Bo na świecie zaszły wielkie zmiany — odpowiedziała królowa. — Teraz czego innego na ziemi potrzeba.

Ale wieszczki nie chciały słuchać jej przedstawień.

— Jeżeli nie otrzymamy swobody, nie będziemy pracowały! — zawołała Przekornatka.

A cały tłum powtórzył za nią:

— Nie będziemy pracowały! Nie będziemy nic robiły!

Wrzawa podnosiła się coraz większa; gniewne słowa krzyżowały się na wszystkie strony, a nawet głos jakiś zawołał:

— Wybierzemy inną królowę!

Usłyszawszy to, królowa podniosła się. Była bardzo rozgniewana. Nie mówiąc nic, wsiadła do powozu i odjechała do pałacu. Zrozumiała, że jej nieprzyjaciółka Baba-Jaga usnuła niebezpieczną intrygę, i że trzeba uciec się do stanowczych środków obrony.

A wieszczki i chochliki zebrane na polance, zapomniały zupełnie o balu. Wrzawa robiła się coraz większa, całe towarzystwo było rozdrażnione, niespokojne i niezadowolone. I królowa w swoim pałacu siedziała srodze zmartwiona; z oczu jej płynęły łzy, które krążący w pobliżu Mróz ścinał i zamieniał w lśniące kryształki lodu.

Jeden tylko Czarny Kot był uszczęśliwiony, chociaż tak ochrypl od wielkiego gadania, że nie był już w stanie nawet miauczeć. Szeptał tylko półgłosem:

— O! Baba Jaga będzie się cieszyła!

A nazajutrz rano, w Krainie Czarów ustała wszelka praca; pomimo, że jagody na przyszłe lato jeszcze nie były pomalowane, wieszczki i chochliki nie chciały nic robić.

## II.

### Gość z pod bieguna.

— Ładne rzeczy się dzieją! — przemówił wielki, stary dąb.

— O! ładne! — powtórzyła jodła, potrząsając gałęziami.

— Czy wiecie? — zapytał młody modrzew. — Wieszczki nie chcą pracować. To zabawne!

— Hm! — mruknął stary modrzew. — Nie będziesz tego uważał za zabawne, gdy ci nikt nie pomoże do otwarcia twoich pączków i zrobienia szyszek.

— E-e-e! — zawołał lekceważąco młody modrzew. — Nie dbam o wieszczki! Wiosna przyjdzie i dopomoże mi!



— To nie wiesz, że Wiosna odłożyła swoje odwiedziny? — zapytał stary dąb.

— Nie wiedziałem — odparł młodzieniaszek.

— Wiosna opóźnia swoje przybycie? — zawołała wiewiórka. — Muszę więc bardzo pilnie pracować, żeby mi nie zabrakło żywności.

(d. c. n.)

### ZAGADKA.

Jak się zwie ta góra, co peruki niema,  
A w jej miejsce klasztor na swym szczycie trzyma;  
Ta, na którą, wedle baśni, jakie znacze,  
Jeżdżą czarownice w nocy na łopacie  
Ta, na okół której rośnie las ponury,  
Niegdyś pełen zbójców!... Jaka nazwa góry?

### ZAGADKA ARYTMETYCZNA.

uł. Tadzio K.

Józio miał dwie monety po 5 kop., trzy po 3 kop. i sześć po 2 kop. Za te pieniądze kupił sobie 9 jabłek po 3 kop., resztę rozdał ubogim, dając każdemu po 1 kop. Ilu było ubogich?

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 3-go

Zagadki: Pół — ka.

### Zadania konikowego.

Na bezrybiu i rak rybą.

### Skrzynka do listów.

Teef obiecuje być stałym korespondentem „Wieczorów” Niech tylko twój zapal Teefie nie ugrząźnie w błocie. Znam Sosnowiec, więc wyobrażam sobie, jak w tym roku zwłaszcza, grząznąć musicie na bystrej Górcie lub na Pogoni.

Zosi i Marysi Mańkowskim dziękuję bardzo za karty z wiadokami Wiednia. Dużo tam nad modrym Dunajem znała wasza Jaskółka i naszej biednej dziatwy. Czy myśli kto o niej? Jakże bym się cieszyła, gdyby przeczytane „Wieczory” zawędrowały do dzieci szewca, który mi zszywał buciki, zdarte bieganiem po wiedeńskim bruku.

Jadzia Nowicka nie chce obrać pseudonimu. Nic nie mam przeciw temu Jadwiniu, ale czasem wypadnie redakcyi zrobić jakąś uwagę, za złą kaligrafię naprzykład? Zdarza się to, zdarza. Nawet Jaskółka nieraz dostaje napomnienia. Taki jest przecież cel naszych korespondencyi, żeby umacniać się w dobrem, a poprawiać złe przyzwyczajenia. Pisz więc Jadwiniu, bo jestem pewna, że nie zasłużysz nigdy na surową krytykę.

Darmo się skarżysz Kurczątko na redakcyę, bo wysłała ci pismo właśnie pod tym nowym adresem (Kuźniczna 51). Trzeba się upomnieć na miejscu o porządek w doręczaniu „Wieczorów.”

Twoje fiołki Lillo Wenedo tak dobrze naśladowują świeże, że je powąchałam, złudzona pozorem. Co zaś do rysunku jest on zdaje mi się naśladowaniem znanego obrazu Löflera. Podziwiam zręczność z jaką władasz ołówkiem, ja nie potrafiłabym moim ptaśm pazurkiem nic równie ładnego wyrysować.

Zosi M. i Żabusci dziękuję za śliczne karty. Ale czemu Zosiuniu

aż w trzech językach dajesz adres. Gród Warsza i Sawy znany jest na świecie, tem łatwiej trafić doń z Krakowa.

Lilia ze Żmudzi i jej siostrzyczka dobrze odgadły zagadkę. Dziwi mnie tylko, że w tak porządnie napisanym liście przez nieuwagę napisałaś raz zagadkę przez t. a w innym słowie i zamiast y. Nie gniewasz się za te uwagi prawda Lilijko? A ja wam obu życzę w nowo zbudowanym domu szczęścia i zdrowia dla was i dla tych, których kochacie.

Stanisław Rościszewski zrobił mi wielką przyjemność swoją powiastką, zwłaszcza, że ma dopiero lat 10 a już tak ortograficznie pisze. Powiastkę oddałam redakcyi, a co tam ten szanowny areopag zadecyduje, tego ja biedna ptaszyna wiedzieć nie mogę.

Łamigłówa Stasia z Kurska dobrze złożona.

Trzy Żabki z Piotrkowa bardzo wesoly urządziły koncert. Ale moje żabki pamiętajcież przecie, że to zima. Porządnym żabom przystoi siedzieć cicho na dnie stawu. Czytałam w Kuryerze o bocianach, które złudzone ciepłem, przyleciały nad Wisłę. Ostrożnie więc żabki, bo nuż który sięgnie dziobem do Piotrkowa!

Wanda Filip... z Kowla zasługuje na pochwałę za staranny liścik. A czy nie znasz czasem kochana Wańdziu bardzo miłej, chociaż starszej od siebie panienki Jadwini B. Jeśli tak, to jej powiedz, że oczekiwana jest w Warszawie z wielką niecierpliwością.

Śliczne kwiatki przysłałaś mi Łochozwianko! A jak dobrze umiałaś je zasuszyć, jak zręcznie ozdobiłaś niemi list. Ach ten list, ten list, ile ja miałabym ci do powiedzenia po odczytaniu go. Ale redakcyja nie pozwala na długie korespondencye „Musi dla wszystkich wystarczyć miejsca” burczy redaktor i ciach! Jednym machnięciem ołówka przekreślił moje wynurzenia. Więc zwiążcie piszę lecz czuję gorąco. Zbyt pochlebnie sądzisz o mnie, nie zawiodłaś się jednak pewnie na mojem sercu. Jak to dobrze, że jesteście wesole i czynne: Nieśmiała, Japonka i ty, że tak wybornie urozmaiacie sobie święta. Słownik Glogera redakcyja wysłała do Słonima.

Wierszyki twoje kochana Kalinko R. oddałam, tak jak sobie życzyłaś, redakcyi i choć to może źle, byłam bardzo ciekawa co też powie o nich grono sędziów, pod których nożycami nie jeden już nasz utwór poszedł do kosza. Słuchałam więc z bijącym sercem wyroku. Ale usłyszałam znów tę samą radę „Niech się ta panienka uczy, niech pracuje. To, co napisała o przemianie fiołka, ładnie pomyślane, lecz należy przedewszystkiem kształcić umysł i serce, to najważniejsze i to nigdy nie zawodzi.”

Lilijce i Wołyniance dziękuję z całego serca za ich liściki. Dobre życzenia nigdy nie zawadza, mile witamy nawet spóźnione. Co zaś do tego, aby wszystko tak się stać miało, jak ja pragnę, to moje drogie, wołę poddać swoje pragnienia woli Bożej. My nie zawsze wiemy, co dla nas lepiej. Czy wy nigdy nie żądaliście tego, co z czasem mogło wam przynieść szkodę? Mnie się to zdarzało. Dlatego z całego serca wszystkim moim przyjaciółom z „Wieczorów,” i sobie tak życzę na rozpoczynający się rok.

Inżynier i Miechowita bardzo mnie ucieszyli swemi listami i wiadomością o dobrem zdrowiu siostrzyczki. Smutne mieliście święta, ale też pewnie ta kochana Wańdzia nigdy nie była wam tak drogą jak teraz, kiedy cieszyście się jej życiem. Bardzo mnie zajęło to, co piszecie o Nałęczowie i Kazimierzu. Prawda, jak piękne są brzegi Wisły? Tyle piszą o brzegach Renu lub Dunaju a przecież u nas tak pięknie.

Cudze chwalicie, swego nie znacie,  
Sami nie wiecie, co posiadacie.

A posiadamy tak wiele. Tylko znać trzeba, bo złe są dzieci, które nie znają matki, czy prawda?

Wasza Jaskółka.

Dobre rozwiązania i zadania własnego układu nadesłali: Lilla ze Żmudzi, Pensyonarka z n. Warty, Progimnazista, Janka i Wańdzia Skoczyńskie, Stanisław Pseudonimski, Stanisław Wojciechowski, Oleś Wścibski, Stefan Lied, Teef, Staś S. z Kurska, Czesław Słoński, Arbiter Elegantiarum, Biały Gołąbek i Wańdzia Filipkowska.